



NIEWIADOMSKA ROMANA

BRACHACZEK ANNA

JELENIA GÓRA 2009

Relacje osobiste związane z indywidualną ścieżką życiową lub doświadczeniem w pracy; drogi życiowe rodzin, które na ziemi jeleniogórskiej znalazły swoje miejsce po 1945 r. Próby odnalezienia tożsamości dawnych i nowych mieszkańców regionu.

Pewnego dnia rozmawiając z babcią o losach mojej rodziny dowiedziałam się, że wywodzi się ona z Warszawy. Niestety, wybuch II wojny światowej sprawił, że moja prababcia wraz z dziećmi musiała się ewakuować ze stolicy na wieś Łopianka, w gminie Łochów, powiat Węgrów. Można było tam łatwiej przeżyć- znaleźć żywność, prawie niezniszczone mieszkanie. Niestety, mój pradziadek, ojciec mojej babci, nie miał tyle szczęścia, bo został zabrany przez gestapo do pracy w Niemczech. Zostali, więc rozdzieleni.

W trakcie wojny prababcia pomagała Żydom - dość dużej grupie. Przechowywała ich we własnym domu, karmiła i dawała im ubrania. Była dla nich jak druga matka. Obecnie ten dom należy do mojej ciotki. W miejscu, gdzie Żydzi mieszkali, znajduje się obecnie piękna łazienka, a poprzednio była komórka, która znajdowała się w piwnicy. W czasie wojny ktoś doniósł Niemcom, że w jej domu są przechowywani ludzie narodowości żydowskiej dzieci i dorośli. Jednak prababcia dowiedziała się o tym fakcie i tego samego dnia kazała iść swoim "podopiecznym" wieczorem do lasu, by mogli się schronić. Następnego dnia Niemcy niespodziewanie wpadli do domu zrobić rewizję. Mimo długich poszukiwań nie znaleźli nikogo obcego. Zabrali mamę mojej babci na posterunek, by mogli ją jeszcze raz przesłuchać. W tym samym czasie w domu zostało dziewięcioro małych dzieci. Prababcia do niczego się nie przyznawała, bo wiedziała, co jej grozi śmierć. Gestapo miało taką ścianę na podwórzu, gdzie byli rozstrzeliwani ludzie. Pod tą ścianą wraz z innymi ludźmi postawili także i moją prababcie. W międzyczasie żołnierze wydali rozkaz, by skazańcy wykopali sobie dół na własne ciała. Tymczasem sąsiedzi powiedzieli dzieciom prababci, by jak najszybciej pobiegły na posterunek z wielkim płaczem, bo inaczej ich mama umrze. Gdy gestapo już celowało w skazanych, przybiegła ósemka dzieci, a moja babcia - najmłodsza w rodzinie, została w domu wraz z sąsiadką. Gdyby wszystkie pociechy mamy się spóźniły o parę sekund, to moja prababcia już by nie żyła. Żołnierze zabijali wszystkich po kolei, nie patrząc na nic. Kiedy dzieci krzyczały: "Mama, mama!", to jeden gestapowiec powiedział "Raus!" - Idź!" I popchnął moją prababcie tak mocno karabinem na ziemię, że nie miała siły się podnieść. Do tego kopał ją po całym ciele. Gdy przestał, dzieci podbiegły od razu i pomogły swej mamie pozbierać się. Po prostu cudem się uratowała. Cała zmasakrowana

wróciła razem z dziećmi do domu. Wracając, co chwile upadała z braku sił. Ci, którzy zostali pod tą ścianą bezlitośnie zostali zabici. Po rozstrzelaniu martwe ciała gestapowcy powrzucali do tych dołów.

Prababcia już do końca wojny żyła cały czas w wielkim strachu i przerażeniu, a Żydzi, których przechowywała, zostali uratowani. Do końca życia dziękowali jej za okazaną pomoc.

Gdy wojna się skończyła, prababcia z powrotem pojechała do Warszawy w poszukiwaniu pracy i pomagać w odbudowywaniu stolicy. Niestety długo tam nie pobyła, ponieważ były to bardzo ciężkie i trudne warunki do przeżycia. Całymi dniami usuwali gruzowiska. Za jeden dzień pracy prababcia otrzymywała miskę zupy. W szybkim czasie wycieńczyła się z głodu i przez ciężką pracę fizyczną. Potem postanowiła wyjechać na zachód. Ktoś ze znajomych oznajmił jej, że w tym samym dniu wyjeżdża pociąg do Zielonej Góry. Pociąg składał się z wagonów przeznaczonych dla zwierząt. Moja prababcia jechała w warunkach nie do opisania przez prawie trzy tygodnie. Bez jedzenia i picia. Co chwilę odbywały się postoje, ponieważ tory były bardzo uszkodzone. Potem okazało się, że pociąg zamiast dojechać do Zielonej Góry, przybył do Jeleniej Góry. Gdy prababcia wysiadła z wagonu, od razu zaczęła pytać tutejszych ludzi, gdzie można zgłosić o pomoc. Dzięki udzielonej informacji dotarła do Organizacji pod nazwą PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). Przez dwa tygodnie przebywała pod opieką tej organizacji. Jakiś czas później znalazła sobie mieszkanie na ul. Osiedlu Robotniczym ora pracą w fabryce tektury falistej. Tam pracowała do końca swej wydajności fizycznej. Po pewnym czasie dostała od urzędu miasta lepsze mieszkanie na ulicy 22 Lipca, obecnie Piłsudskiego. Gdy się jej trochę sytuacja polepszyła, chciała wracać do Warszawy. Były tam lepsze wypłaty i wolne mieszkania. Niestety, zdrowie jej na to nie pozwoliło.

Pewnego dnia przyszła z pracy do domu i zaczęła przywoływać do siebie dzieci. Nagle się przewróciła i nie mogła sama stanąć. Natychmiast wezwano pomoc. Trafiła do szpitala w Cieplicach i leżała na oddziale trzy miesiące. Całkowicie przestała chodzić - paraliż nóg. Lekarze bardzo długo robili przeróżne badania, ponieważ nie mogli znaleźć przyczyny. W końcu wpadli na pomysł i skonsultowali się z lekarzami we Wrocławiu. Karetka przewiozła prababcie do wrocławskiej kliniki.

Minęły 2 lata, ale moja prababcia w dalszym ciągu nie chodziła, a lekarze nie znali przyczyny choroby. Postanowili, więc wezwać znaną profesor, która była już na emeryturze, aby mogła postawić diagnozę; na szczęście diagnoza była trafna. Okazało się, że choroba po łacinie nazywała się Hepar, tzn. kamienie w woreczku żółciowym, co było przyczyną, że nie mogła chodzić, ponieważ te kamienie w woreczku żółciowym zatruwały nerwy w kręgosłupie. Od razu po odnalezieniu właściwej przyczyny moja prababcia znalazła się na stole operacyjnym. Wycieli jej cały woreczek żółciowy. W środku znajdowało się ponad 15 kamieni wielkości orzecha laskowego. Moja babcia w tym czasie miała 5 lat. Jak to małe dziecko strasznie tęskniło i płakało za mamą. Na prośbę dzieci szpital postanowił wypisać ich mamę na tzw. urlop miesięczny. W dalszym ciągu prababcia nie chodziła. Minął miesiąc. Znowu wezwano karetkę, by zabrać ją na dalsze leczenie. Gdy moja babcia - jej najmłodsza córka, dowiedziała się o tym, tak bardzo mocno przytuliła się do swojej mamy i zaczęła głośno płakać, że prababcia odmówiła przyjazdu do szpitala. W domu z dnia na dzień brakowało podstawowych rzeczy do życia. Głównie ubrań. Wtedy prababcia postanowiła, że będzie szyła w łóżku. Również poprosiła o laskę, by mogła próbować, chociaż wstawać przy łóżku. Po około trzech latach prababcia zaczęła stawiać o lasce pierwsze kroki, i stopniowo coraz lepiej mogła chodzić. Niestety jej nogi nie były już tak sprawne. Do końca życia chodziła o lasce. Prababcia miała wielką nadzieję, że jak wyzdrowieje, to pojedzie do Warszawy. Niestety i znowu tak się nie stało. Powróciła do pracy, by mogła zarobić trochę pieniędzy na bilet do stolicy i zabrać resztę swoich dzieci, ponieważ część zostawiła u rodziny w Warszawie, a część, chyba czworo, wzięła ze sobą. W tym czasie poznała bardzo dobrego przyjaciela, myśląc, że jej mąż nie żyje. Okazało się jednak, że mój pradziadek żyje! Z Niemiec udało mu się uciec do Anglii. Po skończonej wojnie w 1949 r. przyjechał do Polski. Wrócił najpierw na wieś. Tam dowiedział się, że jego żona mieszka w Jeleniej Górze. Pojechał do niej. Do końca życia żyli ze sobą w wielkim szczęściu. Obecnie z całej rodziny Łotarskich żyje tylko moja babcia.

Jestem bardzo dumna z mojej rodziny, że mimo wielu trudności - nie poddali się i przetrwali wojnę.